



Wielcy ludzie

Jak dawniej królewiczów chowano

Szary świt był jeszcze na świecie, gdy do wielkiej izby wszedł mąż w duchownych szatach. Spojrzał na śpiących chłopców, zawahał się przez chwilę, jakby żał mu było sen ten przerywać. Wreszcie klasnął silnie w dłonie:

— Wstawajcie, chłopcy! — rzekł niezbyt głośno, ale stanowczym tonem.

Jakby na alarm zerwali się na to wezwanie czterej chłopcy. W jednej chwili stanęli na nogach, wyskakując z łóżek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł duchowny.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedzieli zgodnym chórem.

— Ubierajcie się szybko. Praca czeka, a na świecie dzień już się robi!

Nakreśliwszy na piersiach znak krzyża, rzucili się szybko do ubrań, a duchowny wyszedł z izby.

Czynność ubierania niedługo trwała, bo ubiory chłopców były skromne. Na ławie pod oknem ustawił tymczasem pacholik służebny gliniane miski, a obok dzbany z wodą. Seiągnawszy koszule jeden po drugim myli się chłopcy obnażeni do pasa, nie bacząc, że w izbie chłodno było, a woda tak zimna, że w niej kawałki lodu pływały.

Prychając radośnie, jak młode żrebaki, wycierali się grubymi lnianymi ręcznikami.

Za chwilę wszyscy czterej stali przed księdzem, który był ich nauczycielem i wychowawcą.

Ten sam pacholik rozstawił na stole gliniane talerze, obok każdego łyżkę położył drewnianą, na środku — bochen razo-



Jan Długosz

wego chleba i dużą miskę dymiącej polewki.

Po odmówieniu krótkiej modlitwy, raz-no zabrali się chłopcy do tego skromnego posilku.

— A teraz do lekcji! — odezwał się ksiądz, gdy ukończyli śniadanie.

Zaczęła się lekcja. Nauczyciel mówił o dawnych dziejach Polski, o tym, jak się Polacy dawnymi czasy zarządzili, jakich mieli królów, wielkich wodzów, Polski budowniczych i gospodarzy.

Królewicze słuchali pilnie i z zajęciem,

Bo zapomniałem powiedzieć, że owi czterej chłopcy to byli polscy królewicze. Na dzielnych i zahartowanych mężów chciał ich wychować zarówno ojciec, król Kazimierz Jagiellończyk, jak też wychowawca i mistrz, ksiądz Jan Długosz.

W wielkiej surowości chowani byli ci przyszliz królowie: Władysław, który w młodym bardzo wieku zasiadł na tronach czeskim i węgierskim; Kazimierz, co chociaż ziemskiej nie nosił korony, bo w młodym zmarł wieku, ale niebieską za świętobliwe otrzymał życie, w poczet świętych jest zaliczony i za patrona narodu poczytywany; Jan Olbracht i Aleksander, którzy kolejno na polskim zasiadali tronie.

Proste życie wiodli za młodu i tym tylko od przyszłych się swych poddanych różnili, że pilniej przykładać się do nauki musieli. Znakomici kształcili ich umysły nauczyciele: Jan Długosz, wielki uczoney, autor pierwszej szczegółowej historii Polski i Filip Buonacorsi, Kallimachem zwany, znakomity Włoch, uczoney i poeta.

Toteż na dzielnych wyrosli mężów. Władysława jego poddani „kral dobre“ zwali, Kazimierza za cnoty już za życia czczono. Wprawdzie Jan i Aleksander krótko panowali i nie wiele dla Polski zdziałać zdążyli, ale ich brat młodszy, Zygmun, w takim samym później wychowywany rygorze, był jednym z najlepszych królów polskich i za najpotężniejszego swoich czasów władcę w Europie uchodził.

Twarda szkoła dobrych wychowała królów.

Historia amerykańskiego orzecha

Kończył się już uroczysty dzień wigilii, pogaszono świeczki na choince i wszyscy jeszcze raz zasiedli do stołu, żeby wypić herbatę, jeść strucle, pierniki, jabłka i orzechy. Oprócz włoskich i laskowych, były nieznane dzieciom orzechy amerykańskie, przyniesione przez wujka, podobne z kształtu do pierożków, z czarą twardą skorupą. Wszyscy unosili się nad wyborem ich smakiem.

— Opowiem historię tych orzechów — rzekł wujcio — daleko na drugiej półkuli, w ogromnej, gorącej krainie — Brazylii — płynie Amazonka, pełna krokodyłów, jedna z największych rzek świata.

— Po obu jej stronach rozciągają się nieprzejrzone puszcze dziewicze, pełne najcenniejszych drzew i najpiękniejszych kwiatów. Otóż tam, między innymi, rośnie gatunek kasztana, wydający owoce, niesłusznie orzechami zwane.

— Nie sądźcie, że zrywanie ich jest rzeczą tak łatwą i bezpieczną, jak u nas zbiór jabłek. Zajmują się tym krajowcy — Kabokle zaopatrzeni w wielkie kosze, zapuszczają się w tajemnicze gęstwiny, przez które często siekierą trzeba torować sobie drogę.

— Panuje tam wilgotny skwar, który sprawia, że człowiek wciąż potem się oblewa. Z licznych bagien zatrute rozchodzą się wyziewy; dokuczliwe owady, wobec których nasz komar jest niewinnym barankiem, roznoszą zarazki malarii; wśród zarosli często spotyka się jadowite węże.

— Znalazłszy kasztan, obciążony owocami wielkości głowy dziecka, kabokł strząsa je na ziemię, rozbija i wydobywa ze środka osadzone orzechy. Trzeba teraz przydźwigać kosz do miasta Belem przy ujściu Amazonki. Tam ładuje się orzechy na okręty, które przepłynąwszy Atlantyk, przywożą ten towar do portowych miast europejskich.

— To jeszcze nie koniec podróży. Z miast portowych kolej żelazna rozwodzi orzechy w rozmaite strony, gdzie największy mają pobyt przed Świętami Bożego Narodzenia. Czy zdajecie sobie sprawę, przez ile rąk przeszedł ten orzech, ile kosztował trudu, zanim schrupały go Wasze ząbki? Z. S.

Pana chwalcie dobre dzieci

Pastuszkowie się zbierają

Nad zabawą naradzają.

Wtem Marcinek leci z lasu

(A on nigdy nie ma czasu):

— „Biegną z jakimś stworam!

Ludzie z długimi skrzydłami“.

Zrywają się pastuszkowie:

— „Toż to przecie aniołowie“.

Wtem śpiew z nieba leci:

— „Pana chwalcie dobre dzieci.

Do Betlejem, miasteczka małego,

Idźcie z darami dla Pana naszego“.

Idą pastuszkowie drogą,

Wielkiej gwieździe nadziwić się nie mogą.

Aż wreszcie doszli do tego miasteczka małego

Z pokłonem i z darem dla Pana naszego.

I od tego czasu, co rok, cieszą się dzieci,

Że z choinką anioł z nieba do nich zleci.

Wiersz o Bożym Narodzeniu dla Kochanego Tatusia ułożyła i do „Krasnoludków“ nadesłała

DZIDZIA CHARWATOWNA

Jak dzieci stary rok zakończyły

Mamusia przyniosła z przedpokoju ciepłe okrycie, kapelusz i zaczęła się ubierać do wyjścia. Wnet wszystkie dzieci obskoczyły ją w około.

— Mamusia wychodzi? My także pójdziemy, niech nas mamusia zabierze.

— Nie, nie moje dzieci, nie mogę was zabrać. Na dworze mróz wielki, a wy po przebytej szkarlatynie jeszcze nie możecie wychodzić na dwór, gdyż choroba mogłaby się wrócić. Ja idę do kościoła, a wy zostańcie w domu i bawcie się grzecznie.

— To mamusia wieczorem jeszcze idzie do kościoła? Przecież teraz msza św. nie odprawia się.

— Zapomniałyście dzieci kochane, że jutro jest Nowy Rok, a dziś zakończenie starego roku. Idę więc podziękować Panu Bogu za ten rok przeżyty i prosić o błogosławieństwo do nowej pracy, o pomoc w wychowaniu was na dzielnych i dobrych ludzi.

Michaś od razu spoważniał. Przytulił się do ręki mamy i szepnął powoli:

— Musi mamusia iść naprawdę do kościoła?

— Tak mój synku. Muszę iść do kościoła aby w skupieniu zastanowić się nad sobą, przypomnieć sobie jak zużyłam ten cały rok od Boga dany, czy dobrze postępowałam i co powinnam w życiu swym zmienić, aby się więcej Bogu podobać. Do takiego rozważania trzeba jednak spokoju, przyrzeknijcie mi więc, że kiedy wyjdę, będziecie spokojni i nie się złęgo przez wasze psoty nie stanie. Obiecujecie mi?

— Będziemy grzeczni, będziemy.

Mama uściskała dzieci i wyszła.

Jaś, Maryś i Helenka zaczęły z głośnymi okrzykami biegać po pokoju, ale Michaś jako najstarszy wskoczył na krzesło i krzyknął głośno:

— Cicho dzieci! Obiecaliśmy przecież mamusi, że będziemy grzeczni, prawda?

— Oj prawda, prawda, obiecaliśmy!

— No więc słowa trzeba dotrzymać!

Będziemy się bawili w kolej, ale bardzo spokojnie. Dajcie krzesło i stołeczki. Ja będę maszynistą. Przynieś lalki Helenko. Tam przy obrazie Matki Boskiej będzie niby Częstochowa — tam pojedziemy i — wiecie co? Tak samo jak mamusia w kościele — tak my przed obrazem Matki Boskiej podziękujemy za upłyniony rok.

— Tak, tak, dobrze. — powtórzył Jaś. — i przeprosimy za to, czym Pana Boga obraziliśmy!

— Więc dalej, jazda, pojedziemy do Częstochowy.

Michaś gwiznął przeraźliwie, a Helenka śpieszyła się z usadowieniem lalek.

— Ciuch... ciuch... ciuch..., zadudniła kolej i Michaś po długiej jeździe krzyknął znowu: „Częstochowa“!

Podróżni opuszczali wagony, w tłoku lalki poprzewracały się i Helcia nie mogła sobie z nimi dać rady, aż Michaś zawołał:

— Zostaw je tu na dworcu, one nam niepotrzebne!

Z obrazu spoglądały ku dzieciom słodkie, łagodne oczy Matki Boskiej.

Michaś wpatrywał się w oczy Bożej Rodzicielki, a potem lekko pchnął przed sobą Marysię, Helcię i Jasia, ukląkł i zaczął ukleknąć rodzeństwu.

— Dziękujemy ci Panie Boże i Matko Najświętsza za ten rok przeżyty spokojnie. Błogosław Boże Dziecięz obyśmy i w tym roku nowym żyli na pociechę mamusi, a Tobie na chwałę — mówię głośno Michaś, a młodsze dzieci za nim powtarzają.

— Słuchajcie dzieci, teraz musimy sobie jeszcze przypomnieć jakie każdy z nas ma wady i przyrzec Panu Bogu, że będziemy się starali w nowym roku nie popeliwiać ich więcej.

Cisza... Dzieci skupiły myśli. Jaś ciężko wzdycha:

— Ach, jakże często nie słuchałem rozkazów rodziców.

— Byłem leniwy — przyznaje się Michaś.

— Ciągłe się z rodzeństwem i kolegami kłóciłem — rozpamiętuje Maryś, a Helcia pociąga noskiem i łezką ociera:

— Taka byłam łakoma!

— Przepraszamy Was, Panie Boże i Najświętsza Panno! mówi głośno Michaś, będziemy się starali w Nowym Roku być lepszymi!

Drzwi się uchyliły; na progu ukazała się mama, a to co zobaczyła i usłyszała do głębi ją wzruszyło.

Z radością i dumą uściskała swe dzieci.

Wieczorem przyszli wujaszkwowie i ciocie.

Dzieci w swoim czasie udały się na spocznik, lecz Michaś słysząc ożywioną rozmowę usnąć nie mógł. Długo się przewracał, aż posłyszał, że zegar wydzwaniania północną godzinę. Zerwał się na swym łóżeczku, przeżegnał się i zmówił raz jeszcze pacioremka na pomyślność mamusi, krewnych i ojezyznu.

W I E R S Z Y K I

CO STAŚ DOSTAŁ NA GWIAZDKĘ?

Od siostrzyczki Broni dostał Staś na gwiazdkę małą książkę z obrazkami, co w niej są powiastki.

Od swej kochanej mateńki dostał malowane sanki ten Stasiulek nasz maleńki. Od drogiego tatka — nowe butki. Takie ładne i żółciutkie dostał Stasiuśko malutki. Zaś od ciotki Lutki dostał Stacho malutki ciepły kożuch czerwoniutki. Co mu kto dał, Staś nie wiedział, ale kiedy wszyscy byli, ślicznie

Pa... powiedział.
Edward Koszałuk

TRZEJ KRÓLOWIE

Trzej Królowie, monarchowie zza góry i rzeki, z ciekawością i ochotą, zapatrzeni w gwiazdę złotą, jadą w kraj daleki. Ten na koniu, ten na słoniu, na wielbłądzie trzeci, uroczyście i z paradą przez dni wiele jadą, jadą tam, gdzie gwiazda świeci. Piękne szaty, strój bogaty i wygląd wspaniały a pokornie chyłą głowy, Ten poważny, ten surowy, a ten czarny cały, dla Dzieciątka, dla paniątka skarby wiozą w dani. Pod stajenką, skromną, lichą jak skromni poddani
A. K.

TRZEJ KRÓLOWIE JADA

Idzie zima, idzie z gór, białych ptaków niesie wór. Biały puch rozniesie po polach, po lesie, srebrne strzępki śnieżnych piór. W nagich drzewach wicher gra: — Idzie, idzie zima zła. — Wiatr o zimie śpiewa, grają białe drzewa, szybka w oknie z brzękiem drga. A w styczniowej nocy czar dziwny z wiatrem lecą gwar; to z wielką paradą Trzej Królowie jadą, Dzieciąteczku złożyć dar.

Wanda Malicka

RYLIO NA SANECZKACH

Jedzie Rysio na saneczkach, dzwonek przy nich dzwoni — „Wio, koniku! niech mnie teraz i wiatr nie przegoni!... Wio, koniku, coraz prędzej przez śnieżną ulicę! A ja w biegu się pochylę śnieg do rączek schwycę. Popędzili, powrócili pod własne okienko, a za szyby już mama, macha do nich ręką. Konik mówi ludzkim głosem że już czas do domu... (że konikiem tym był tataś nie powiem nikomu!...)

KOŁYSANKA

Śpij dziecino, przymruż oczy, Ujrysz szczęście w złotych snach, Ja miłością cię otoczę, Ja ci z bajki stworzę gmach... Śnij o szczęściu, o uśmiechu, — W snach je życie niesie nam, Ja cię do snu ukołyszę, Ja ci do snu piosnkę dam... O aniołach, o ląbedziach, W srebrnych puchach, w srebrnych mgłach Tyle piękna, tyle cudu, — Ja ci z bajek stworzę gmach! Słońce przyjdzie w odwiedziny, Księżyc ci pokłoni się, — A i gwiazdka dla dziecińcy Wnet opadnie w srebrnej mgle...
Helena Dawidow

WYJĄTEK „WRÓZB“ Z OPERY „STRASZNY DWÓR“

Biegnie dziewczę w lasy, w knieje. Dziewczę gdzby kwiat, Z której strony wiatr powieje, Z tej przybędzie swat; Z której strony drzew korony, Skłonią listki swe, Z tej napewno narzeczony Wkrótce zjawi się! Stoi dziewczę nad strumieniem, Wierzy w wróżby cud, Drobną nóżką z serca drzeniem Mąci kryształ wód; Czyją postać w mętnej fali Ujrzy w chwili tej; Ten z pewnością w rok najdalej Będzie mężem jej!...

Harmonista Waluś

Dwunastoletni Waluś, po śmierci rodziców, został sam z swą czteroletnią siostrzyczką, Hanią. Mieszkał z nią na poddaszu, w małym pokoiku, z okienkiem wychodzącym na ciemne podwórce, na którym bawiła się zawsze gromadka brudnych i obdartych dzieci. Przy tym to okienku, idąc rano do szkoły zostawiał zawsze Hanię, dawszy jej do zabawy różne zabawki swojego pomysłu i wykonania. Dziewczynka bawiła się grzecznie przez całe przedpołudnie, aż do powrotu braciśzka, który wróciwszy ze szkoły, szykował zaraz obiad dla siebie i siostrzyczki, którą bardzo kochał. Po południu zaś, szedł z małą za miasto na przechadzkę, a wieczorem po kolacji, gdy dziewczynka już spała, zabierał się do odrabiania lekcji. I tak upływały dni.

Pewnego dnia Waluś wychodząc do szkoły był czegoś bardzo smutny, a wróciwszy w południe zapomniał nawet o obiedzie, co mu się nigdy nie zdarzyło, że głodna Hania musiała mu o tym przypomnieć, wtedy chłopiec rozplakał się. Ale po chwili widząc, że malutka patrzy na niego przestraszona, otarł łzy, a wzięwszy Hanię na kolana zamyślił się głęboko. Bo i jakże, ostatnie grosze wydał dziś na chleb i mleko. Za kilka dni nie będzie miał co jeść z siostrzyczką. Wiedział, że będzie się musiał rozstać z ukochaną szkołą, choć przyjdzie mu to z trudem aby pójść pracować.

I tak rozmyślając błędził oczyma po pokoiku, aż wzrok jego zatrzymał się na starym i zniszczonym pudle. Wstał i podszedł do kąta, otworzył pudło i wyjął z niego harmonię. Spojrzał na nią z rozrzewnieniem. Wszak to jeszcze na niej ojciec grywał, gdy jeszcze mieszkali z mamą w ładnym i ciepłym mieszkaniu. Naciskając guziczki poczał grać jakąś skoczną poleczkę, aż mała Hanezka, z radości klasnęła w rączki.

— Mam już zarobek — z radością zawołał Waluś. — Już z głodu nie zginęmy.

Od tego czasu co dzień, zamiast do szkoły, z którą się na zawsze pożegnał, szedł z harmonijką grywać po podwórzach i stamtąd przynosił codziennie kilka groszy.

Jednego dnia wróciwszy jak zwykle w południe do domu, zastał w pokoiku jakąś bogato ubraną panią, na której kolana siedziała Hanezka oglądając śliczną z kolorowymi obrazkami ksią-

żeczkę. Waluś stanął zdziwiony na progu, a pani ujrawszy go rzekła:

— Ach, to ty jesteś tym małym, lecz dzielnym braciśkiem, który wyrzekł się szkoły, aby pracować na ukochaną siostrzyczkę, mówiła mi o tym twoja nauczycielka. No ale chwala Bogu, skończyła się twoja niedola. Jestem waszą krewną, nie mam dzieci, a odszukawszy was nareszcie, postaram się wam zastąpić rodziców, nie będziesz już grał po podwórzach, wrócisz do szkoły.

Waluś słuchając tego patrzył jak we śnie na dobrą panią i na siedzącą u niej na kolanach uśmiechniętą Hanezkę...

Gabriela Klimkówna

Choroba Jędrka

Jędrək ma 15 lat. Lecząc jest wiatry ! chorowity. Rodzice go rozpieszczali i chwalili jak chucherko. Często, gdy Jędrək powiedział: „Nie odrobię lekcji, bo mnie głowa boli“ albo po prostu: „Bo nie chce mi się“, mówili: „To nie odrabiaj, synku nie odrabiaj“. Wtenczas Jędrkowi się zdawało, że jest bardzo chory, że mu się słabo robi i kładł się do łóżka jęcząc i pokaszlując, zgięty w pół.

Matka zrozpaczona siadała u jego nóg płacząc i lamentując. Wzywała doktora, który mówił:

— Chłopcu nic nie jest. Jest zdrowy jak ryba!

Lecz matka nie wierząc wzywała drugiego, który mówił to samo.

W szkole drwiono sobie z niego i śmiano się: „Chory, chory! Zawołajcie doktora!“ — wołano.

Jednego dnia gdy Jędrək przyszedł do klasy. Lekcja jeszcze się nie zaczęła. Kilku kolegów przybiegło doń i zawołało:

— Ty Jędrək, przyszedłeś? Po co? Mogłeś zostać w domu i udawać chorego! Albo powiedzieć matce, że cię głowa boli!

— Cha! cha! cha!... — śmiała się reszta chłopców.

Lecz spośród gromady tych złych chłopaków wysunął się Jaś Wilski, dobry i miły chłopiec:

— Wstydzicie się koledzy! Jak możecie tak mówić? Wstydl! Wstydl!”

Po lekcji Jędrək przysunął się do Jasia Wilskiego i rzekł mu:

— Dziękuję ci, Janku, żeś mnie obronił przed nimi. Teraz rozumiem, że nie ma sensu udawać chorego! I tylko martwić rodziców. O! Poprawię się, zobaczysz!...

Teresa Psarska

Opowieść zimowa



Brzozy w śniegu

Ryś Zawirski, uczeń gimnazjum, przyjechał tego roku bardzo wcześnie na święta Bożego Narodzenia.

Ryś używał całą mocą — szalonego, niemieszczącego się w jego piętnastoletnim sercu życia. Obszedł zabudowania, trzeba było się przywitać z ludźmi, końmi, psami, nie mówiąc już o domownikach.

W lesie nie był jeszcze, bo przed jego przyjazdem rozszalała się zamięć śnieżna. O paręset kroków od domu można było zbłądzić! Później się uspokoiło, natomiast nasunęła się ciężka, ciemnopopielata, ponura i mroźna mgła, opadająca szronem na drzewa; dopiero pod wieczór niebo poróżnowiało — wyjaśniło się, a nazajutrz wstał dzień wigilijny cudny, jak w bajce, skąpany w promieniach słonecznych, osnuty złotosrebrną koronką szronu, usia-

ny niezliczonymi diamentami — prawdziwy świąteczny dzień!

Ryś wpadł w świetny humor. Po kawie pokręcił się trochę po domu, podokuczał młodszym dzieciom, zajętem ubieraniem choinki, zjadł kilka piernikowych serek i cukierków z lśniącymi ogonami, zajął do mamy, do spiżarni, wpadł na staw, gdzie ojciec pilnował połowu ryb, które przezornie nie chciały wlaźć do sieci i dać się złapać i... znudziło mu się! Poleciał do kuchni, gwizdnął na domowego kundla, łapaja, pogrążonego w wyjadaniu z cebra rozmaitych gęsich, kurzych i mięsnych odpadków, a że w dodatku stary kucharz Józef, bardzo dnia tego zapracowany, spojrzał na chłopca ogromnie niechętnie, wbiegł do domu, chwycił swoją fuzijkę i popędził do lasu.

Im bardziej się zbliżał do lasu, tym cudniej było na świecie. Słońce wypłynęło na środek niezwykle szafirowego nieba, olbrzymi szron skrzył się jak brylanty, przystroił drzewa i nadał im jakieś fantastyczne kształty; każdy świerk wyglądał jak zaczarowany.

Ryś był bardzo wrażliwy na piękno, szedł więc coraz wolniej i wchłaniał w siebie radośnie cuda przyrody. Właśnie na samym brzegu lasu leżał duży pień zwalonego dębu, usiadł więc na nim wygodnie, jak na ławce, postawił fuzijkę obok siebie i zaczął rozmyślać.

Zrobiło mu się nagle rzewnie i smutno. Dwa lata temu spędzali święta jeszcze razem z Alusią, słodką kochaną dziewczynką, co wkrótce potem padła ofiarą nieszczęśliwego wypadku w zakładzie, gdzie się wychowywała. Tak, to były jej ostatnie święta — i takie wesołe! A w parę tygodni zaledwie po powrocie na pensję — cicho, bez cierpienia prawie, niespodzianie, w parę minut zeszała z tego świata, jak zdmuchnięty puch z kwiecica. Była ona stryjeczna siostrą Rysia, najwierniejszą przyjaciółką i towarzyszką zabaw. Po jej śmierci rozpaczal strasznie przez czas jakiś, powoli jednak moc życia wzięła górę: uspokoił się i jasna postać dziewczynki zaczęła jakby błękitnieć i coraz więcej wsiąkać w przeszłość! A dziś właśnie w ten cudny, diamentowy wigilijny dzień tak mu wyraźnie stanęła w oczach, jak gdyby ją przed chwilą pożegnał.

Aluska, zaledwie o parę miesięcy od niego starsza, była dzieckiem żywym i wesołym, a zarazem nad wiek poważna, mówiła rzeczy mądre i tak głębokie, że wprawiały w zdumienie otaczających.

Kiedyś latem, w czasie wakacyj, które spędzała u stryjostwa, bawili się razem w ogrodzie we dwoje tylko. Właśnie zajęli byli urządzeniem sobie darniowej ławeczki, gdy nagle zza krzaka wypełzła wstręt-na ropucha. Ryś schwycił spory kamień i chciał nim zmiadzić stworzenie, ale Alusia rzuciła się na niego, wytrąciła mu kamień z ręki i zasłoniła sobą ropuchę:

— Nie zabijaj, nie zabijaj! — wołała rozpaczliwie. Z oczu dziecka, z całej jej postaci biła taka potężna uczucia, że chłopak stanął jak wryty.

Patrzyli na siebie długą chwilę, w końcu dziewczynka rzekła już spokojnie.

— Nie rusz jej, daj jej spokój, niech sobie idzie do swego domu; chodźmy, mam ci coś do powiedzenia.

Dzień był lipcowy gorący, poszli w głąb ogrodu i rozłożyli się wygodnie w cieniu, na świeżo skoszonej trawie.

— Widzisz, Rysiu — zaczęła Alusia, — ty jesteś moim najlepszym przyjacielem, więc muszę ci opowiedzieć moje myśli. Ty mnie na pewno zrozumiesz. Wiesz, i ja kiedyś lubiłam podokuczać zwierzętom troszkę, na przykład drażniłam czasem Dudusia, szpica cioci. Bawiło mię to, że on się gniewał, aż dopóki sobie nie pomyślałam, że ten biedny psina, taki żywy i wesoły, zawsze siedzi zamknięty na czwartym piętrecie, bo ciocia nie ma czasu z nim dużo wychodzić, a on chciałby pewnie pobiegać na swobodzie i dlatego się gniewa.

Czytałam w tym czasie o świętym Franciszku z Assyżu. To był taki promienny święty, co kochał wszystkich i wszystko na świecie: ludzi, kwiaty, zwierzęta a nade wszystko słońce, co daje ziemi życie. Napisał nawet cudowny hymn, „Pieśń Słoneczną”, w którym wielbił Boga i stworzenia Jego. Nie zamykał się w ponurym klasztorze, chodził po ślicznej włoskiej ziemi, pocieszał, pomagał wszystkim, rozsiewał szczęście, miłość i radość dokoła. Kwiaty zakwitały pod jego stopami, ptaszęta się zlatywały i siadały mu na ramionach, przemawiał do nich, a one go słuchały. Mam nawet taką śliczną książkę o nim; „Kwiatki Św. Franciszka”, muszę ci ją koniecznie pożyczyć. Tam jest jak święty oswoił dzikiego wilka, co później nikomu szkody nie robił i chodził za nim, jak najwietniejszy pies: jak spotkał pewnego razu chłopca, co niósł w klatce

turkawki i kazał mu je zaraz wypuścić na wolność i błogosławił im i wiele, wiele innych ślicznych rzeczy. Bo widzisz, on wielbił i szanował życie każdego najmniejszego stworzenia, bo każdy ma do tego życia prawo, a my znów nie mamy „prawa” odbierać to, czegośmy nie dali.

Myślę, że przeciwnie: powinniśmy kochać i słońce, co wszystkich ogrzewa i oświetla, i niebo, kwiaty, drzewa, i każde najmniejsze zwierzątko. Ta twoja biedna ropucha — rzeczywiście obrzydliwa biedaczka, ale czy to jej wina? Nie ci nie chciała zrobić złego, wyszła pograć się na słońce!

Od kiedy to wszystko przemyślałam, nigdy nie robię krzywdy zwierzętom, bronię ich zawsze i staram się zrobić im przyjemność. Nawet Dudusiowi kupiłam na ostatnie święta za swoje pieniądze spory kawałek kiełbasy na gwiazdkę, żeby mu wynagrodzić tamto dawne dokuczanie i wyobraź sobie, że on mię teraz pokochał i już nigdy nie warczy.

W pół roku potem Alusi już nie było. Nieubłagana śmierć zupełnie niespodzianie i nagle zabrała ją z tego świata.

Ryś się zamyślił. Cicho było, uroczyście, cudnie. Może nigdy Alusia nie była Rysiowi taka bliska, jak w tej chwili. Nie dziwiłby się nawet, gdyby jej jasna postać spłynęła ku niemu w słonecznych blaskach.

Nagle usłyszał szelest jakiś... Drgnął i obejrzał się: o kilkadziesiąt kroków od niego stała prześliczna młoda sarenka, widocznie tylko co wybiegła z lasu, bo chwiała się jeszcze gałęzie krzewów i sypały srebrny szron na ziemię.

Ryś w jednej chwili o wszystkim zapomniał: — Sarna w naszym lesie, rzecz niezwykła, co za zdobycz wspaniała!...

Chwycił fuzję i, ukrywszy się za krzakiem, wycelował! Już, już miał pociągnąć za cyngiel, kiedy mu się dziwnie serce ścisnęło.

— Co to jest? Ta sarna nie rusza się wcale, nie boi się... Widziała go przecie... stoi sobie i patrzy w jego stronę swymi wielkimi, smutnymi, bezgranicznie ufnymi oczami, jak oczy zmarłej siostrzyczki. Rude futerko lśni w słońcu, jak złoto, a ona wciąż stoi nieruchomo! Co to jest? Prawdziwe zwierzątko, czy zjawisko?

Ryś wysunął się zza krzaka.

Nie, on nie zabije, on nie może zabić tego ślicznego stworzenia i to dziś w sam dzień wigilijny, kiedy podobno każde zwierzę o północy może przemówić ludzkim głosem i poskarżyć się Nowonarodzonemu Dzieciatku na swą ciężką dolę.

Patrzyli tak na siebie długą chwilę. W końcu sarenka cofnęła się i utonęła w leśnej ciszy i w błękitnych cieniach.

Ryś zrozumiał w tej chwili, że już nigdy nie będzie zabijał.

Śnieg błękitnieje, nabiera odblasków lila, seledynowych, ciemnoszafirowych, a niebo robi się coraz bardziej różowe, kula słoneczna zapada w siną pręgę lasu na widnokręgu. We wsi zapalają się światełka, z kuchni buchają wielkie kłęby dymu, w jadalnym pokoju nakrywają do wieczory wigilijnej, lśni obrus biały, w kącie stoi snopek...

Ryś wchodzi poważny, milczący

— Co to, Ryśku — woła mama. — Wracasz z fuzją? Polowałeś w sam dzień wigilii? Wstydz się!

— Nie, mamusiu, tak sobie chodziłem i nawet w ogóle chcę mamie oddać fuzję. Proszę ją schować gdzie na strychu: nie będę już nigdy polował.

A. Szymanowska



W Tatrach

W SKŁADZIE:

Pani sprzedająca: — Czego chcesz Janku, cukierka, czy czekolady?

— I czekolady i cukierka. Ale mama przysyła mnie po mydło



Polska sanna

Mal. Jan Kotowski